

MIECZYŚLAW KURZAŃKOWSKI ur. 1932; Lublin



Tytuł fragmentu relacji	Dom rodzinny przy ulicy Narutowicza
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin; dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	dom rodzinny

Dom rodzinny przy ulicy Narutowicza

Urodziłem się w muzeum. Moi rodzice kiedy się urodziłem mieszkali na posesji Narutowicza 4. Tego domu już nie ma. Stał on przy granicy posesji muzealnej z posesją rektora kościoła pobrygidkowskiego. Tam był taki domek dwuizbowy z sienią, przed nami mieszkał tam prof. Janusz Świeży – etnograf. Po sąsiedzku – w tym miejscu gdzie obecnie jest gmach Biblioteki Łopacińskiego, której jeszcze wtedy nie było – był dworek, w którym mieszkał z kolei dr Ksawery Piwocki, który był wojewódzkim konserwatorem zabytków – to się wówczas nazywało „konserwator zabytków Okręgu Lubelskiego”. (...) Mieszkaliśmy tam do roku 1935, kiedy rodzice się przenieśli do kupionego wcześniej domu własnego na Rurach Jezuickich, na ul. Letniej 7 i tam mieszkałem na Rurach aż do ślubu w roku 1953, czyli wtedy w wieku lat 21, kiedy się ożeniłem, przeprowadziłem się do żony i teściowej, do domu na Bronowicach, na Łęczyńskiej. I tam mieszkaliśmy do otrzymania mieszkania na LSM-ie w roku 1961. Mgliście pamiętam ten pierwszy dom, czy może raczej sam dom nie, tylko może pewne okoliczności i sytuacje związane z tym miejscem zamieszkania. Ja tam miałem trzy i pół roku kiedy wyprowadziliśmy się, przeprowadziliśmy się na Rury. Od strony ulicy Narutowicza był tam wysoki mur, który łączył dwie oficyny. Trzeba powiedzieć, że ta oficyna popijarska - ta krótsza, która jest bliżej kościoła ona sięgała do ulicy. Ta część frontowa tej oficyny została zburzona we wrześniu 1939 roku bombą. I te dwie oficyny były połączone bardzo wysokim murem i w tym miejscu gdzie obecnie są schody była łukowa brama zamknięta kratą. Oczywiście nie było wtedy jeszcze tego nowego gmachu Biblioteki Łopacińskiego, w tym miejscu stał dworek [ks. Ksawerego Piwockiego], natomiast za dworkiem stara lipa rosła. Na lewo od wejścia z ulicy, po przejściu przez tą bramę była przybudówka przy tej oficynie popijarskiej, w której mieszkała Józefowa, która była dozorczynią, sprzątaczką... Właściwie można powiedzieć, że ona rządziła faktycznie Muzeum. I kiedy ona szła sprzątać w muzeum zabierała mnie czasem ze sobą i to sobie zapamiętałem, że przy wejściu na sale wystawowe była gablota, w której był szkielet ludzki, ponieważ muzeum lubelskie miało wtedy również zbiory przyrodnicze. Szkielet ludzki – ja się straszliwie tego szkieletu bałem, pamiętam – przebiegałem starając się nie patrzeć na ten szkielet... Moim ulubionym miejscem to było miejsce przy kracie zamykającej bramę od strony ulicy Narutowicza. I tutaj jest jakieś to wspomnienie, że to był rzeczywiście widok fascynujący, to co się działo, przecież to było samo serce Lublina wówczas. Przede wszystkim ruch. Te jakieś platformy konne wyładowane beczkami – dziś już wiem, że to były na pewno beczki z Browaru Vettera.

Szczególnie jakoś mnie fascynowały takie beczki, które były na łańcuchach zawieszane pod spodem, pod platformą i tak się kołysały. Oczywiście był wielki hałas ponieważ Narutowicza była wówczas wybrukowana kocimi łbami, koła tych wozów, platform czy wszystkich innych wozów to były okute, drewniane z okuciami metalowymi, wobec tego to był straszny turkot na ulicy. No i potem pamiętam jeszcze samochody zielone, które też robiły bardzo dużo hałasu jadąc. Dziś też mogę wiedzieć, że dlatego, że to były samochody nie na oponach pneumatycznych tylko na masywach, czyli na lanej gumie. Ponieważ kiedyś po wojnie widziałem taki samochód jadący na lanych gumach i wiem jaki straszliwy hałas on wywołuje. A że były zielone, to na pewno były samochody wojskowe. Tak, to było fascynujące. Jak się spojrzało w lewo od tej bramy, to tam był postój taksówek, które czasem strzelały ruszając. Naprzeciwko to był cały szereg sklepów. Tam była mleczarnia, w której sprzedawano sery. To był specjalny gatunek sklepu, który nie odpowiada dzisiejszej formie sklepu nabiałowego. Nie było mleka w woreczkach, nie było mleka w butelkach, mleko było w bańkach, które nalewane było kwaterką do bańki, którą się przynosiło ze sobą. Nie było takiego mleka już opakowanego. Sery to były takie krojone na wagę, w tym kształcie takim ... sera - taki trójkąt z zaokrąglonymi rogami, jak to na wsi, te wiejskie sery robi się. Ta forma jest uzyskiwana przez to, że on w woreczku jest i w tym woreczku obcieka z serwatki. No oczywiście sery – te twarde, które były krojone, to były wówczas sery szwajcarskie, sery litewskie się mówiło, oczywiście też nie maszyną krojone, tylko ręcznie. No i poza tym zwykle tam było jeszcze trochę pieczywa w takim sklepie no i zwykle można było w takim sklepie, który nazywany był mleczarnią, jednocześnie wypić mleko. Były też takie mleczarnie, które były nastawione na wydawanie posiłków, które znów nie przypominały późniejszych barów mlecznych, bo to były bardzo proste i mały wybór napojów – mleko, kakao, czy kawa mleczna. Można tam było zjeść drożdżówkę, bułkę - takie powiedzmy miejsce, gdzie można było śniadanie zjeść czy drugie śniadanie. Fryzjer tam był jeszcze. Nie wolno mi było wychodzić poza bramę. Ta brama była zamknięta cały czas i jeżeli ktoś chciał wejść do muzeum, to musiała Józefowa otworzyć – tak. Pamiętam szlifierza, który ostrzył noże i chodził z tym kołem, z tym swoim warsztatem na ramieniu i dzwonił o blachę oznajmiając że jest i żeby mu przynosić coś do ostrzenia. Byli jeszcze ci co jeździli z wozami i skupowali szmaty stare, żelastwo stare, dziś powiedzielibyśmy – surowce wtórne. To byli przeważnie Żydzi. To był też taki bardzo charakterystyczny krzyk, którego nie potrafiłbym naśladować, to taki: „Szmaty stare, kupuję, żelazo kupuję...”

Data i miejsce nagrania	2000-06-07, Lublin
Rozmawiał/a	Marta Kubiszyn
Transkrypcja	Marta Kubiszyn
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"